

DISKORENESANS W CZASACH PATOSTREAMERÓW

Tryumfalny powrót disco polo to coś więcej niż comeback wynikający z prawideł kultury popularnej, która co pewien czas po prostu zatacza koło. To forsowany przeszczep, eksperyment władzy na żywym organizmie społeczeństwa. Ale eksperyment, który powiódł się, ponieważ z jakiegoś powodu Polacy mają na punkcie tego, co w nas prostackie, istną fiksjację.

W moim środowisku oglądanie „Wiadomości” jest delikatnie mówiąc wstydlive. A ja oglądam – i jestem w stanie zawsze to odpowiednio uzasadnić. Niby żadne to odkrycie, a jednak nieustannie zaskakuje mnie, jak odmiennie można opisywać tę samą rzeczywistość. Odmiennie, jako że wcześniej oglądam konkurencyjne „Fakty”.

■ ZENEK MARTUNIUK, NOWA GWIAZDA „WIADOMOŚCI”

Abstrahując od aspektów typowo propagandowych, uderzające jest dla mnie nie tylko treściowe, ale i formalne przeewoluowanie „Wiadomości” do nieobserwowanego wcześniej stadium. Miast silić się na dogłębną charakterystykę wystarczy wspomnieć początek niedawnego wydania. Zwykle zaraz po czołówce podawane są trzy kluczowe „newsy”, które definiują klimat wieczoru. Pierwszym z nich był tego wieczoru koronawirus i tu raczej trudno się dziwić. Przez kilka sekund widać było ministra zdrowia, premiera oraz można było posłuchać ich stanowisk w sprawie zagrożenia pandemią. Dalej pojawiło się coś, co nazywam newsami z przeszłości (na ogół jest to przeszłość komunistyczno-hitlerowska) – tym razem była to informacja o Annie Walentynowicz. Zaś trzecią wiadomością była zapowiedź programu „Star Voice. Gwiazdy mają głos”, nowego okrętu flagowego weekendowych wieczorów.

Dziwna kombinacja. Konkretna informacja, potem kęs historii, wreszcie igrzyska dla ludu. Podobnych połączeń nie pamiętam. Mam wrażenie, że z telewizją stało się coś, co trudno mi zrozumieć, co jest nieporównywalne z czymkolwiek, co było wcześniej. Ale jeszcze bardziej wymownym świadectwem tych zmian jest permanentna obecność elementu względnie nowego, przynajmniej nowego w mediach publicznych – disco polo. Gdybym jeszcze kilka lat temu usłyszał, że niemal stałym gościem „Wiadomości” stanie się Zenek Martyniuk – nie uwierzyłbym. Tym bardziej że przez bardzo długi czas nie miałem pojęcia, kto to jest, i na dobrą sprawę poznałem go lepiej dopiero dzięki Telewizji Polskiej.

W okresie poprzedzającym Sylwestra w Zakopanem promocja tej postaci stała się szczególnie nachalna. W jednym z wywiadów miałem zresztą okazję wieszczyć, że jego obecność spiętrzać się będzie jeszcze w karnawale, a z wiosną (a może z postem?) nastąpi odwilż, temat disco polo zelżeje, ale nie do końca jeszcze odpuści. Na razie – gdy piszę te słowa, jest połowa marca – tak właśnie się dzieje. O muzyce disco polo, przynajmniej w „Wiadomościach”, jest już mniej, o Zenku też już słyszę rzadziej, ale temat daje się jeszcze gdzieś znaleźć. Dowodem na to jest fakt, że discopolowe riffy zagościły na srebrnym ekranie (wciąż głośno jeszcze o premierze filmowej biografii Martyniuka).

■ MANIFEST „NA PRZEKÓR” I REAKCYJNA PSEUDONARRACJA

Jak to możliwe, że muzyka tak mocno kojarzona niegdyś z bezguściem i prostactwem (ale też mimo wszystko z jakąś sielską beztroską) weszła do głównego nurtu? Jak to się stało, że powróciła po niemal całkowitym zapomnieniu? Druga połowa lat dziewięćdziesiątych i pamiętny pilsatowski program „Disco Relax” przeminęły – zdawało się – bezpowrotnie. Okazało się, że przeszła jedynie w formę przetrwalnikową, która ożyła po kilkunastu latach i uderzyła



Sarkastyczną odpowiedź Internetu na nachalne lansowanie przez media rządowe Zenka Martyniuka była przeróbka okładki historycznej serii „Biblioteka Narodowa” Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, w której ukazują się dzieła klasyków polskiej i światowej literatury

ze zwielokrotnioną mocą, mocno podgrzaną panującym dyskursem politycznym. Disco polo nie tylko powraca, ono wstaje z kolan, jak suweren, jak całe państwo. Jest dumne i pozbawione kompleksów, jest takie, jakim powinien być mitologizowany „zwykły Polak”. Disco polo stało się polityczno-społecznym manifestem, muzyką warstw społecznych, które – podobnie jak u Marksa – zyskały swoją samoświadomość. Stało się manifestem „na przekór”.

Polityczna narracja ewidentnie wykorzystuje istniejące w społeczeństwie podziały i stara się wycisnąć z nich maksimum. Polska A, kraina wykształciuchów, inteligentka, pseudoelitar-na, chodząca do teatru i jedząca bezy łyżeczką, brzydzi się prawdziwymi Polakami, grupą drugiej kategorii, a więc i ich ukochaną muzyką. Tymczasem każdy przecieży wie, że o gustach się nie dyskutuje, w związku z tym niby dlaczego disco polo nie miałoby zagościć na salonach i festiwalach? Kto zaręczy, że z częstochowskich rymów i równie kulawych fraz nie wyłoni się nagle gatunek na miarę bluesa – muzyki prostych, niepiśmiennych niewolników? Ponieważ

zwykły Polak wreszcie ma głos, a prawdziwa władza wreszcie ma stosowny mandat zaufania, muzyce zwyczajnych ludzi zostanie przywrócone właściwe miejsce i godność.

Jednocześnie przemilcza się, że tego rodzaju postawa – założenie nieweryfikowalności gustów – neguje sens estetyki jako osobnej dziedziny filozofii. Wszelkie traktaty, kanony piękna, złote proporcje, podziały i symetrie są w tym prostym zdaniu unieważnione, sprowadzone do poziomu jakiejś reakcyjnej pseudonarracji. Popelniany jest tutaj błąd polegający na utożsamianiu wartości i wolności: wartości sztuki i prawa do cieszenia się nią w każdej odmianie. O ile wolno każdemu słuchać zarówno Bacha, jak i Zenka Martyniuka, o tyle zrównywanie jednego i drugiego – bo przecież o gustach się nie dyskutuje – dzieje się ze stratą dla kultury i cywilizacji, których istota zasada się na niekwestionowanych standardach. A w Polsce, pod pozorem „oddawania Januszowi co Januszowe”, przemycane jest działanie obliczone na polityczny efekt, które w rezultacie stawia dziedzictwo kultury na głowie.

■ DOCHAMIANIE ELIT

Kultura (w tym muzyka) od dawna wykorzystywana jest jako oręż w polityce i w tezie tej nie ma ani kontrowersji, ani świeżości. Marsze, hymny, pieśni państwowe, elegie – wystarczy przytoczyć choćby takie oczywistości. Za czasów komuny muzyka była jednak wykorzystywana do czegoś więcej – z jej pomocą nie tylko indoktrynowano, ale i dokształcano masy. Władza ludowa starała się udowodnić, że chłop i robotnik potrafią konsumować ofertę zarezerwowaną wcześniej dla burżuazji i arystokracji.

Eksperyment ten realizowany był w Polsce bardzo intensywnie i – przynajmniej to otwarcie – z dużą korzyścią dla ówczesnej oferty rozrywkowej. W telewizji pojawiły się „Teatr telewizyjny”, fenomen w skali europejskiej, oraz „Kabaret Starszych Panów”; muzyka sama w sobie również przeżywała intensywny rozwój. Pojawił się big beat, który był wcale ciekawą odpowiedzią na nurty zachodnie, zwłaszcza że sam z sobą stał się również narzędziem popularyzowania wśród młodzieży pewnych wątków folklorystycznych (wystarczy wspomnieć choćby „Skaldów”, a przecież nie tylko oni czerpali pełnymi garściami z tradycji ludowych). Pod okiem władzy powoli rozkwitał także doskonały jazz. Muzyka polskiej wsi rozbrzmiewała dzięki takim zespołom jak „Śląsk” czy „Mazowsze”. Mimo lodowatej partyjnej atmosfery pojawili

się Komedą, Nalepą, Niemen. Można spytać retorycznie: a dziś? Co poszło nie tak?

Władza w miejsce dokształcania mas zdecydowała się obrać strategię dochamiania elit (słowo dziś skrajnie niebezpieczne, mimo wszystko jednak – zaryzykuję). Aczkolwiek z drugiej strony można upierać się, że dochamianie wystartowało już dawno, ma się świetnie i Zenek Martyniuk – do którego osobiście nic nie mam – prędzej czy później, za tej czy innej władzy, i tak by się pojawił.

■ GIGANTYCZNY SKOK W DÓŁ

Oglądałem niedawno króciuteńki dokument Krzysztofa Kiesłowskiego pt. *Gadające głowy*. Idea była prosta: pytamy przypadkowe osoby o to, kim są, o czym marzą, czego się boją. Rozpoczynamy od niemowlaka, kończymy na starcach. Film bardzo barwnie ukazuje – jak określił to jeden z moich znajomych – etapy przemian naszej tożsamości. Mnie jednak – mimo całkiem ciekawej treści – uderzyło coś zupełnie innego. Niemal każda z kilkudziesięciu wypowiadających się osób mówiła piękną polszczyzną. Dojrzałe, przytomnie, odpowiedzialnie cedząc słowa, wiele pięknych słów. Pięknie wypowiadali się uczniowie, studenci, zwyczajni dorośli, wreszcie starzejący się Polacy. Ładna polszczyzna łączyła nas ponadwarstwowo, ponadklasowo. Z pewnością nie mówili tak wszyscy, jednak przeskok, jaki od tamtego czasu dokonał się w codziennej praktyce polskiego języka, jest gigantyczny i jest to – niestety – skok w dół.

Nie tylko ja uległem takiemu wrazeniu. Dziesiątki komentarzy w serwisie YouTube pod dziełkiem Kiesłowskiego utrzymanych jest w bardzo podobnej tonacji: jako społeczeństwo nieprawdopodobnie wręcz schamialiśmy. Trudno tu przypuszczać, że ten proces wystartował i doszedł do tego stanu w ciągu kilkunastu ostatnich miesięcy totalnej reorientacji na promocję diso polo. Jego znamiona obecne są w wielu mediach, nie tylko państwowych. Zaryzykowałbym nawet tezę, że media państwowe i prywatne dochamniają tak samo intensywnie, ale za pomocą innych narzędzi.

Na prywatnym poletku też biją źródelka nieprawdopodobnego wręcz prostactwa. Mam tu na myśli choćby paradokumenty cieszące się ogromną sławą wśród młodzieży gimnazjalnej i licealnej. Programy takie jak *Szkoła, 19+*, *Trudne sprawy* itp. są niczym ogólnopolska akcja promocyjna chamstwa, na której oddziaływanie uczniowie wystawiani są praktycznie codziennie. Z racji prowadzonej działalności

regularnie mam okazję rozmawiać z nastolatkami i gwarantuję, że przekonanie wielu guru od mediów o absencji telewizji w życiu smartfonowej młodzieży zostałyby boleśnie zweryfikowane. Dochodzi do tego oferta *reality shows* w rodzaju *Paradise Island*, *Projekt Lady*, *Azja Express*, gdzie widzowi trudno nawet skupić się na wątku z racji częstego wypikiwania przekleństw. Młodzi telewidzowie uczeni są, że wulgaryzmy, egoizm, materializm, pogarda, cynizm, kombinowanie *etc.* już na stałe zainstalowano w oprogramowaniu do ogarniania życia. Dobrze już było. Żadne inne pokolenie nie było w takim myśleniu równie bliskie prawdy.

■ JANUSZ, MAŻ GRAŻYNY, OJCIEC SEBIKSA, DZIADEK DŻESIKI I BRAJANKA

Ale mówimy tu o czymś więcej, czymś wcześniej niespotykanym. Polacy – wiele na to wskazuje – w swoim prostactwie najwyraźniej się rozsmakowali. Jesteśmy prawdziwymi koneserami prymitywizmu, eksplorującymi coraz to nowe warstwy geologiczne, przy których disco polo wydaje się niewinną wprawką. Wymyśliłiśmy patostreamy: transmisje na żywo videokanałami z melin i innych siedlisk patologii to polski wynalazek, który święci tryumfy mierzone w „donejtach” o wartości milionów złotych. Każdy oglądający może bowiem oglądanemu „patusowi” przesłać stosowny datek, nader wielu z tej opcji korzysta.

Owo niewytłumaczalne pieszczenie się swoim chamstwem znajduje zresztą wyraz

Nasocz sundański, małpa z Borneo, użyczyła twarzy nadwiślańskiemu Januszowi



w narastającej autoironii, by nie powiedzieć autocynizmie. Stworzyliśmy co najmniej dwie sztandarowe postaci: Janusza i Sławomira, które są emanacją prostackta dość nietypowego, służącego wyłączonego rozrywce, niekoniecznie zaś refleksji. Imiona te nie są na szczęście kojarzone z patostreamerami, którzy stanowią skraj naszego kontinuum, mimo to mówią wiele o polskiej umysłowości.

Janusz to imię... małpy, nosacza sundańskiego, który jest mężem Grażyny, ojcem Seby (ew. Sebiksa), teściem Karyny, dziadkiem Dżesiki i Brajanka. Uosabia wszystko to, od czego naród z jednej strony się odżegnuje, z drugiej zaś – z czym pragnie się spoufalać, z czego śmieje się i co oklaskuje na przeglądach kabaretów, jak gdyby potwierdzając: tak, to my, to o nas. Z kolei Sławomir to sceniczny pseudonim Sławomira Pawła Zapalę, performer i piosenkarza, który z charakterystycznym wąsem, zarośniętymi pachami i zaczesem flirtuje z estetyką Polakaprostackta. Liczba wyświetleń jego przeboju *Miłość w Zakopanem* przekroczyła 200 milionów, Zenek Martyniuk wydaje się na tym tle wcale autentyczny. Wyraz twarzy, jaki przybiera na swoich teledyskach, sugeruje, że traktuje swoją twórczość całkowicie poważnie, że nie jest to żadna zabawa formą, żadna groteska, udawanie, żadna rola – po prostu robi to, co umie najlepiej.

■ TERAZ, KU*WA, JA

Wygląda na to, że miotamy się gdzieś pomiędzy tymi symbolami bezguścia: Martyniukiem, Zapalą i Januszem. Czy naprawdę wybraliśmy sobie takie właśnie autorytety? Czy naprawdę dyskusja o popularności takich ikon ma zastąpić temat upadku wszelkich – jak przystało na czas postmoderny – standardów? Odnoszę wrażenie, że otaczając kulmem takie postaci, staramy się za wszelką cenę zakomunikować swój brak kompleksów albo wręcz nadpodaż pewności siebie, wszystko jedno, czy jest tak w istocie.

Warstwy wyższe według Ortegi y Gasset charakteryzowały się ostentacją w konsumpcji. Czas i pieniądze trawiono na rzeczy niepraktyczne, czego najlepszym przykładem była nauka martwych języków w elitarnych szkołach. Czy – analogicznie – warstwy o niższym kulturowym kapitale też właśnie urządzają sobie ostentacyjną konsumpcję, z tą różnicą, że konsumują to, co znają, lubią i rozumieją? Obecna władza zdaje się działania te wspierać (by nie powiedzieć: katalizować). A ci, którzy podważają walory prostych, skocznych szlagierów,

stawiani są w jednym rzędzie z nie-Polakami. Robi się z nich kulturalną piątą kolumnę, która gardzi estetycznymi wyborami większości (*sic!*) społeczeństwa. Tymczasem zwykły Polak ma wszelkie prawo być takim, jakim chce. Szkoda tylko, że najwyraźniej nie chce już stawać się kimś trochę lepszym i zadowala się tym, kim jest. Jest spełniony i samowystarczalny.

Procesy kulturowe, w sensie antropologicznym, „startują” wówczas, gdy jednostka zdaje sobie sprawę, że są względem niej oczekiwania: że musi zachowywać się w określony sposób, ale także, że może być kimś innym niż jest, kimś lepszym. Od tej podstawowej refleksji zaczyna się gotowość do przełamywania własnych ograniczeń, do pracy nad charakterem. Z niej też bierze swój początek nieobojętność na los wspólnoty. Schlebiana gustom nie należy jednak utożsamiać z budowaniem wspólnoty, a mam wrażenie, że to właśnie usiłuje nam wmówić polityka uprawiana przez media publiczne: to właśnie w ten sposób realizowana jest misja odbudowy polskiej wspólnotowości, tak długo demontowanej i rozbijanej wewnętrznie przez poprzednie ekipy.

Czy tym sposobem przetrzuciliśmy właśnie pomost pomiędzy uwielbieniem dla disco polo a dalszą erozją społecznego kapitału? Sądzę, że to uzasadnione. Owo pieśczenie ego suwerena nie ma wymiaru ponadjednostkowego, angażującego. Wokół disco polo nie przyrasta samarytańsko-platoniczna wspólnota, gotowa do wymiany poglądów, a w razie potrzeby – również i zasobów (w ostatnich dekadach chyba ani razu w przestrzeni publicznej nie udało się zbudować takiego bytu: partii politycznej, ruchu społecznego, po tyleż pamiętne co nieudane pokolenie JP II). Narasta za to ruch kierujący się po raz kolejny tym samym co kiedyś hasłem: „teraz, ku*wa, my”, lub nawet „teraz, ku*wa, ja”, ale mnożone po wielokroć.

■ EMANACJA POLSKOŚCI

Miałem niedawno okazję przysłuchiwać się emocjonalnej dyskusji na antenie radiowej Trójki. W programie redaktora Strzyczkowskiego rozpracowywanym tematem był – jakżeby inaczej – koronawirus. Wsłuchując się w głosy dzwoniących, zdałem sobie sprawę, że najbardziej przeraża mnie nie tyle sam wirus, ile nieodpowiedzialność moich współziomków. Oto pojawiały się głosy, że osoby objęte kwarantanną niewiele sobie z niej robią i niespecjalnie się z tym kryjąc, chodzą do sklepów, do bibliotek uczelnianych, prowadzą w miarę normalne

życie, spotykając innych. I co w związku z tym należy robić? Czy zawiadamiac odpowiednio służby?

Jeszcze tego samego dnia przeczytałem informację, że pacjent z podejrzeniem koronawirusa po prostu uciekł ze szpitala, gdzie następnie doprowadzono go siłą. Podobne doniesienia trąca co najmniej moralnością Kalego, która z brakiem kompleksów ma wszak wiele wspólnego: co złego to nie ja. Nawet jeśli mam koronawirusa, to i tak nie dotyczy mnie to w takim stopniu jak innych. Mnie wciąż wolno trochę więcej, przecież nie ma lepszego eksperta w mojej własnej sprawie niż ja sam. Moje otoczenie? Zdrowie innych, nieznanych mi ludzi? Phi! Dobrze sobie! Prawdopodobnie każdy z nas mógłby podać kilka przykładów chronicznego nieliczenia się z ogółem jako przewlekłej choroby Polaków.

Podsumowując, powrót disco polo wylamuje się z prawideł popkultury, zgodnie z którymi mniej więcej co dwadzieścia-trzydzieści lat miejsce ma powrót do przeszłości – do łask wracają nurty przebrzmiałe, na początku uznawane za trochę śmieszne, później traktowane pół żartem, pół serio, w końcu zupełnie poważnie, bez kompleksów. Na tej fali powróciła choćby grupa Kombi, a – z zupełnie niezrozumiałych dla mnie powodów – szansy na wielki comeback nie wykorzystało Papa Dance, w mojej opinii prawdziwy nieoszlifowany brylant polskiego nurtu *new romantic*. Zachód zachłystuje się obecnie estetyką retrowave, czyli przebojami stylizowanymi na głębokie lata osiemdziesiąte, rozświetlone neonami i odblaskową, uniseksualną odzieżą. Disco polo powróciło nie do końca spontanicznie. Pobrzmiewało nieśmiało na imprezach studenckich, zawsze za woalką niedosłowności, co zwiastowało już samoistny powrót tego gatunku, regenerowało siły gdzieś w remizach na Podlasiu, potem jednak zostało siłą wszczępione w tkankę narodu za sprawą politycznej propagandy, jako emanacja polskości.



Sławomir Greatest Hits – okładka płyty Sławomira, czyli Sławomira Pawła Zapały – performerera i piosenkarza, który z charakterystycznym wąsem, zarośniętymi pachami i zaczesem flirtuje z estetyką Polaka-prostaka

■ NA RAZIE JESZCZE BEZ PIWA

Wielu nad tą sytuacją ubolewa, ale to tylko epifenomen, skutek, a nie przyczyna. Procesy prowadzące do pojawienia się disco polo w takiej ilości w publicznych mediach zaczęły się dużo wcześniej. Spotkałem się nawet z opinią, że zapoczątkował je dwie dekady temu Kuba Wojewódzki, który zresztą prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko łacie błyskotliwego chama (takie przynajmniej wrażenie odniosłem po lekturze jego „nieautoryzowanej autobiografii”). Być może to od jego pomysłów na spektakularne upokarzanie nauczyliśmy się, że media nie są przestrzenią szacunku dla innych. Być może to gdzieś w jego pobliżu szukać należy wspólnego przodka współczesnych formatów, od paradokumentów po patostreamy.

I, kończąc już moje medytacje, czuję się mimo wszystko dużo spokojniejszy, że – wobec zalewu takiej oferty – przez większość czasu antenowego wciąż jeszcze nie wolno legalnie pokazywać reklam piwa, napoju najczęściej spożywanego przez wielbicieli disco polo. Wtedy to by dopiero było!

Tomasz Kozłowski